Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 46. Poznań, dnia 16. Listopada. 1840.

Literatura zagraniczna.

Bernardin de St. Pierre.

Przez L. Siemieńskiego.

(Dokończenie.)

Widok księżny spokojnie, obojętnie przewodniczącéj zgromadzeniu przywołuje go do rozumu — zbliża się do niéj z niewymówném ściśnieniem serca, i słowa konają mu na ustach. Księżna przyjmuje go ze śmiechem, żartuje z nagłego powrotu, ukradkiem ciska gniewne spojrzenie, i nie czekając odpowiedzi, zostawia go pod ciężarem dręczących myśli. Tłum balowy otacza nowo przybyłego, każdy wypytuje o przyczynę wyjazdu — a on musi tłumić pomięszanie, odpowiadać spokojnie, przytomnie, w chwili najstraszniejszéj wewnętrznéj walki. Jakże mu długiémi zdały się godziny poświęcone zabawie, któréj nie mógł ani znieść, ani rozumieć.

Goście zaczynają rozjeżdżać się koło północy — korzysta z stósownéj chwili, daje znak umówiony, a wciskając się tajemnémi drzwiami, znajduje się w budoarze księżny, tym niemym świadku minionego szczęścia. Obecność miejsca rodzi w nim tysiące lubych przypomnień; wszystko mu rozpowiada o niéj, dotyka każdego przedmiotu, jakby dawnych znajomych witał. Wtém lekki szmer jedwabnéj szaty ostrzega o zbliżeniu się Maryi — mimowolne uczucie ciska go pod nogi ubóstwionéj — opowiada jéj swoje męki — maluje walki z samym sobą — wybór między życiem a śmiercią, jaki mu pozostał, gdyby ją miał utracić, — a widząc wyraz zimny i niewzruszony na twarzy księżnéj, składa ręce i rzecze w pokorze: »Maryo! wyczytałem mój wyrok, nie jestem kochany — ale na Boga zaklinam, powiedz, czemu winienem tę zmianę!« — Księżna nie mogła dłużéj stłumić wzruszenia, bądź przez litość, bądź przez resztę przywiązania usiłowała ukoić rozpacz nieszczęśliwego — »Nie!« mówiła drżącym głosem, »nie przestałam cię kochać, owszém twój odjazd dręczył mię i zatruwał godziny — ale ten nagły powrót otwiera przepaść podemną. Ta gwałtowność równa się obeldze, powinieneś był czekać, a ja przemyślając o naszéj przyszłości, byłabym ją zapewniła na zawsze. Ten bal nawet wydałam w myśli odwrócenia podejrzeń i zawstydzenia zawistnych — a ty przybyciem swojém obalasz całe dzieło!«

Około trzeciéj nad ranem uspokojony, a nawet z lubym obłędem szczęścia wychodził z pałacu, lecz zaledwie oddalił się, stanęły mu w pamięci wszystkie tego wieczora wypadki i znowu pogrążył się w dawnych powątpiewaniach. Kilka godzin snu przerywanego nie mogło ukoić wstrząśnienia, to też zbudził się z czarnémi przeczuciami, którym posępny poranek zimowy dodawał jeszcze smętności. W takich chwilach zwykle spodziewamy się jakiegoś ciosu, i najmniejsza okoliczność rodzi w nas trwogę. Widok służącego, który wszedł niewołany do jego pokoju z listem w ręku, przejął go zimném aż do głębi serca. — Otworzył — poznał pismo Maryi i czytał następujące wyrazy:

»Namiętność twoja nosi wszystkie cechy szaleństwa, darujesz, że jéj znieść dłużéj nie mogę; staraj się opamiętać i wrócić na drogę, którą szedłeś przed naszém poznaniem się.

W téj chwili odjeżdżam do matki mojéj na Wołyń. Przysięgłam nie postać w Warszawie, dopóki nie upewnię się, żeś ją opuścił. Listów odemnie nie spodziewaj się otrzymać, jak tylko we Francyi.

Marya M....«

Trudno opisać, co się z nim działo po odczytaniu tych wyrazów. Prawie w pomięszaniu zmysłów zleciał ze schodów i pędził do pałacu księżny. Lecz cóż znaczy ten nieład, ten ruch niezwykły? dziedziniec cały zawalony pakami i meblami, salony ogołocone z ozdób, służący zdejmują pająki i zwierciadła. Zbliża się, chce pytać kogoś o wyjeździe pani — niestety! tyle wzruszeń wyczerpało w nim siły fizyczne — i bełkocąc niezrozumiane wyrazy pada pół martwy na ziemię. Pomoc lekarza zapobiegła dniom człowieka, zachowując go do większych przeznaczeń — zaniesiony do swego mieszkania, kilka dni przebył w gorączce, i mniéj cierpiał,

bo nie czuł; lecz gdy przychodził powoli do zdrowia, namiętność z dawną odezwała się mocą. Jakież dopiero knował zamiary! wydrzeć niewierną z rąk matki — zabić się w jéj oczach — to znowu wstąpić do klasztoru, świat sobie zawiązać, wszystkie namiętności stopić w jedną i tę ukryć pod grubą włosienicą!... Takie pomysły, rozczulając go nad sobą samym, niosły nieznacznie ulgę. Miłość zwykle lubi bawić się cierpieniami, są one jak ogień przyłożony do rany, którą wypaliwszy goi.

Po tym pierwszym wybuchu zdrowsze nastąpiły rady. — Saksonia zamyślała wydać wojnę rzeczpospolitéj — a więc do Saxonii! Jakaż myśl szczęśliwa — on, zwycięzca z orężem w ręku stanie w obec niewiernéj — obraz upokorzonéj, jaki tryumf dla niego! — I tak po dwu latach pobytu w Polsce opuścił Warszawę w r. 1764., kędy miasto spodziewanéj fortuny, znalazł rozkosze i żal po owych utracie.

Na tém się kończy ustęp miłosny w życiu Bernardina de St. Pierre. Wszakże jeden jeszcze szczegół może posłużyć do złożenia całości: St. Pierre wrócił do Francyi lecz spodziewanych listów nie zastał; z tego milczenia mógł był wyczytać, że się już wszystko skończyło między nim a Maryą. — Pewnego dnia (a było w lat parę od wyjazdu z Polski) znajdował się w Wersalu w czasie uroczystości publicznych. Oczekując wśród ciżby ludu na zapalić się mające ognie sztuczne, wzrok jego mimowolnie skierował się na okna pałacu — i w jedném, o któż opisze zadziwienie! ujrzał księżnę Maryę. — Im więcéj się wpatruje, tém większéj nabiera pewności: to jéj własne blond włosy, to jéj błękitne oko z nieporównanym wyrazem, ten sam uśmiech łagodny i ta wytworna prostota stroju! zrazu mniema, że to ułuda zmysłów — ale oto spojrzenia ich spotykają się — poznała go! — W uniesieniu już nie wątpi, że dla niego przybyła z Polski — rozpiera tłum widzów i chce się przedrzęć — daremnie! jak fala morska zawsze się przed nim zamyka. — Tymczasem powszechna ciekawość zwraca się na świetne widowisko; — lecz w chwili, kiedy bukiet wyleciał w powietrze i w tysiące gwiazd się rozprysnął — postać Maryi zniknęła w oknie.

Po tym przypadku pełen słodkiéj otuchy wrócił do Paryża, nigdzie nie wychodził — i z każdym turkotem powozu spodziewał się powitać Maryę. — Ale długich dni ośm ubiegło i nikt nie przybywał. Miałżeby wziąć marę swojéj wyobraźni za rzeczywistość? Chce się przekonać o prawdzie i udaje się do pewnéj znakomitéj osoby, która w ciągłych zostawała stosunkach z dworem Stanisława; od niéj to dowiaduje się, iż księżna Marya nie wyjeżdżała z Polski, i że z powrotem swoim do Warszawy prowadzi życie ciche i samotne. Ta pewność w nowe wtrąciła go cierpienia.

Namiętność ta, która jak burza z słońcem, piorunami i tęczą przesunęła się przez młodość Bernardina de St. Pierre była ostatnią szkołą nieszczęść kształcącą wielkiego pisarza, co więcéj, jéj to winna jest Francya utwór pełen najświeższéj poezyi i najwznioślejszych uczuć: Pawła i Wirginię!

Strasburg, w Paźdz. 1840. *Lucian Siemieński.*

Literatura krajowa.

Poezya.

Gościnność.

Mnie uczczono bóstwa sławą,
W arkadyjskim wieku złotym;
Jam mieszkała pod namiotem,
Z patryarchą jako prawo;
Jam słowiańskich ludów wiano,
A gościnność moje miano.

Mnie potwierdził zakon nowy,
Zakon prawdy i prostoty;
Bom ja siostra wiary, cnoty,
Bo nadziei kwiat majowy
Na żywota sieję drodze;
Od miłości bo pochodzę.

Skromna — czysta jak dziewica,
Co dwunzaczna nie znam mowa;
Na pochlebne ludzi słowa
Wstydem płoną moje lica;
Bo nie ufam méj zasłudze,
A podnoszę czyny cudze.

Gdy egoizm świetne grody,
Pałace mi zamknie złote;
To z méj szaty pył ich zmiotę,
I uciekam do zagrody;
Gdzie jak powoj przeciw burzy,
Do dzikiéj się tulę róży.

O! w méj chacie, w każdą porę,
Otworzone stoją wrota:
Kiedy nocna wyje słota,
W oknie mojém lampa gore;
By wędrowiec, lub ubogi
Zaszli do niéj z błędnéj drogi.

Ja na skromnéj zbioru grzędzie,
Kłos z mienacka mijam zdrowy,
Dla sieroty i dla wdowy.
Ja gdy ziemię mróz osiędzie,

Rzucam zboża garść na lodzie,
By nie snęło ptastwo w głodzie.

Gdzie ja jestem — kwitnie praca;
Młode roje w lipach dzwonią;
Słowik kwili pod jabłonią;
Na topolę bocian wraca.
Tam jaskółka, jak w kościele
U strzechy swe gniazdo ściele.

Gdzie mnie nie ma — w gorzkie zioła
Marmurowa rośnie ścieszka;
Na pałacach smutek mieszka;
Bogacz siada sam u stoła;
A dla czułéj matki sromu
Piękne córy więdną w domu.

Mnogie włości — żyzne łany,
Ogień spali — wojna zgniecie;
Lecz kto zemną żył na świecie,
Nie zapłacze — niepłakany.
Tam na gruzach i popiele
Jeszcze znajdzie się wesele.

O piastowe rzewne plemię!
Szanuj cnoty twe rodzinne,
Serce mężne i gościnne;
A na twoję zstąpi ziemię
Gość, co ojcu królów rodu
Dał koronę — za plastr miodu.

J. N. Jaśkowski.

Posiedzenie Bacciarellego malarza.

Powtarzam opowiadanie, którém słyszał dzieckiem w domu mego dziada, sędziego B..., co był mi ojcem i matką. Jak dziś pomnę i giest i wyrazy malarza Włocha, a nim był sam opowiadający Bacciarelli; a powieść jego ulgnęła mi głęboko, bo miała dla mnie coś tajemniczo ciekawego, jak dla dziecka. Wreszcie stanowiła u mnie ważną epokę, bo się toczyła przy obrazie wielkim w złotych ramach, świeżo przyniesionym do żółtego pokoju, mego sanctum-sanctorum zabaw. Mówiący często na ten obraz skazował. Jam słuchał; ciekawy, coby to za jeden był na nim ze złotémi szlifami, w niebieskim mundurze, z białą atłasową kamizolą? I jakem się dowiedział, że to król dawny, nuż codzień przed nim w całym pędzie drewnianego konia, w papierowym kołpaku wyprawiać szyki i trąbić do boju. O! bo wtedy dzielny był ze mnie żołnierz i szczęśliwy w potyczkach! — później nie tak.

Więc posłuchajcie wraz ze mną dzieckiem, opowiadań malarza artysty:

»W końcu Marca, *** roku, zrana, gdym się miał udać do pracowni mojéj w zamku królewskim, przysłał po mnie książe prymas karetę swoją z prośbą, że czeka na mnie w pałacu biskupim, chcąc w ważnéj sprawie pomówić. Za chwilę spełniłem rozkaz i nie meldowany zachodzę do jego komnaty. Był w rozmowie cichéj i głębokiéj z księdzem Mejerem spowiednikiem; książę nie ujrzał mnie, lecz spowiednik, spostrzegłszy wchodzącego, uciął rozmowę. Książe zatopiony w myślach słuchał jeszcze, dumał; wnet prędkim krokiem przeszedł się kilka razy w pokoju, tuż obok mnie; a wychodząc z zadumy szeroką swą dłonią uderzył kilkakroć w czoło — otworzył usta, chciał mówić — wtém oczy jego padły na mnie; zmieszał go ten widok, zawrócił słowa na wpół wybiegłe, i głosem więcéj drżącym z bojaźni niż gniewu: »Kto tam? i czego wy chcecie?« zawołał, a potém poznając mnie: »Ha, to wy Bacciarelli! — z zamku? cóż mi z zamku przynosisz dobrego?« — »Mości książę, wołany od waszéj miłości.« — »Wołany? od nas? — tak, tak! przypominam, to nie ode mnie — Grabowska — tak ode mnie. Chciałem, byś mi mego odmalował brata; teraz nie wiem, czy mi się to na co przyda. Ja mam, mam już malowanego brata; wszak prawda, księże Mejerze?« dodał z przyciskiem, obracając się do spowiednika, »wszak prawda, że mam malowanego brata? i ztąd złe wszystko, i ztąd doszło może aż do tego, że on swego mieć nie będzie!« Znów posunął krokiem po hebanowéj posadzce, z zaciętą wargą, z zamyśloném obliczem: »Ha, bo to trzeba głowy, nie serca; a mój brat cały sercem! Słowo, jakie nas i jego zbawić może, on go nie zrozumie. Jemuby trzeba głośno, w obec całego świata krzyknąć wspólnie z narodem »tak«, a on tego nie zrobi, on nie ma mocy ku temu, ani też mocy, aby przeciw narodowi »nie« całym swym majestatem utrzymał. Mówić mu? toć jam tyle razy już mówił, błagał, dowodził. — Odkładał, odkładał; późniéj, późniéj! a ty mi mówisz, że już nie czas Mejerze?« I stanął wprost przeciw spowiednika, badawczo na jego ruchy zapatrzył. Ksiądz Mejer ramionem ruszył, z lekka przebrał wargami, potém spojrzał na mnie: »O, ja widzę, że nie czas; już dziś więcéj rządzi pałac naprzeciw kapucynów, niż zamek, a z drugiéj strony ciągnie burza ciemna, cicha, piekielna, a może sprawiedliwa; kryzys, kryzys słabego ciała rzeczypospolitéj!« — »Ja nie chcę być przy tém przesileniu! ja nie będę przy niém!« wołał prymas i dłonią swoją bił znacząco o poręcz kotary.

Widząc, że wiadomość chwilowa treścią i tajemnicą, do mego zawołania żadnéj styczności mieć nie mogąca, opanowała myśl księcia; chciałem się usunąć z komnaty, i cofając się zlekka, uderzyłem przy wychodzie nogą o drzwi gabinetu. Ruch ten zbudził prymasa; skinął ręką, bym został; przetarł czoło, — zdawało mi się, że i z oczu zdjął łzę nabiegłą, i spokojniejszym dodał gło-

sem: „Czekaj Bacciarelli, zrobisz mi obraz króla jegomości w naturalnéj wielkości w pół ciała; obiecałem go — a iżby cię zachęcić do oddania zupełnego podobieństwa, dodam, iż go obiecałem osobie, która króla mego zna zbliska, i może bliżéj, jak my oba; przypatrzyła mu się nieraz — rozumiesz?« — »Mości książę! wasz rozkaz wkrótce ... i jak ...« — »Już ja wiem, mój Bacciarelli, że ty go dobrze oddasz; więcéjbym cię ino o pośpiech prosił, bo kto wie?....« Zamilkł i zasępił czoło. — Ja zaś widząc, że posłuchanie moje skończone i nie ma czego bawić, skłoniłem księciu i odjechałem do pracowni.

Nazajutrz rankiem, ledwo co czerwone słońce rozbiło mgłę wiosenną, przy moim trójnogu w pracowni siedziałem koło rozciągniętego płótna, i wczoraj rzucone zarysy krągłémi znaczyłem kontury. „Owoż go masz,“ mówił daléj Bacciarelli do ś. p. dziada mojego, wskazując na podarowany obraz, »ale nie takim był dnia tego. Owal twarzy królewskiéj zaledwiem obrzucił gruntem, postawa, w jakiéj go teraz widzisz, siedziała mi dopiero w myśli; alem się nad nią nie męczył, nie rozkładał wiele; charakter Stanisława sam mi ją natchnął. Prawa ręka na poły w białą atłasową kamizolę zatknięta, jakby wskazująca serce, ów giest dobroci, co wrodzonym pędem zda się wskazywać w tym królu to, czém jego natura przemawia; a lewą nie kładłem na rękojeść szpady, ani dumnie w pas niebieskiego munduru. Nigdym takiego ruchu u niego nie widział, choć nań codzień patrzałem; oparłem ją o krawędź szkarłatnego krzesła, tę piękną, białą, krągłą rękę Stanisława, i czepiłem się jéj naprzód pędzlami mojemi; twarz, głowę, ubiór i cienie wszystkom ominął, zapomniał dla téj jednéj ręki, boskiéj ręki. Każdy malarz, uważaj dobrze, mój sędzio, w obrazie swym człowieka lub natury ma jednę myśl szczególną, która go nad inne pociągnie, która panuje jego obrazowi i spowiada znawcy o uczuciu, jakiém malarz w ciągu swéj pracy oddéchał; poznasz ją po pieściwém oddaniu jakiego szczegółu, który ci z całego utworu naprzód uderzy w oczy. I to nie fantazya, nie wybryk artystoski poszepnie nam to wyszukanie; natura sama daje nam wzór, my tylko rozględnie i bacznie podchwytujemy szczególny jéj wyraz, którym zarysowała szczególnego człowieka, i już go potém poznasz, rozróżnisz między wielu innémi, którycheś widział. To przemówienie twoich oczu pamięci było skokiem tajemniczego szczegółu, którym natura wlepiła tego człowieka w ogół swych tworów. Malarz chwyta to i ceni, na co wy prostém i nawykłém patrzycie okiem; bo wam idzie li o poznanie, nam o tajemnicę oddania.

Tak moją ulubioną myślą stała się ręka Stanisława; porwałem ją na płótno; zdawała się mięknąć pod pędzlem. Chciałem w niéj wszystko oddać, co tylko malarz oddać jest zdolny i owe życie nabiegających żyłek, i ową lekką, niedojrzaną mokrość, która pulchnym kobiecym rękom blasku dodaje, i ową pochopność w ściśnieniu, którą tak często król mnie witał. W moim malarskim języku chciałem być dworakiem i wywdzięczyć za to ściśnienie rękę, któréj nawzajem uścisnąć nie mogłem. I tak mi coś pochlebczego, lubego siadło na pędzlu, tak mi przytomną stała się jéj forma i rzeźkość, żem zachciał ją oddać, ale tak oddać, iżby każdy, spojrzawszy na tę rękę, nie bacząc twarzy i reszty obrazu, krzyknął: »Ha! to Stanisława ręka!«

Żadnego cienia, ino światło pełne, jasne rzucam na dłoń i palce. O! gdybym miał cienie dawać, położyłbym je na jego czole szerokiém, choćby dla tego, by pokryć marszczki niespokoju i bolów, co się tam wypisały; takie to wtedy przykre świeciły mu czasy.

Czuję, jak pędzel powoli mi sunie, ale ja się tak pieszczę z tą ręką, że mi go od niéj oderwać się nie chcę; a przecież czekają na ten obraz, i wczoraj jeszcze wieczorem pani Grabowska tajemnie z pałacyku Łazienek przysłała po mnie i w pobliskiéj alkowie siedziałem długo i bacznie, podczas, gdy z królem bawiła i niby z niechcenia zasadziła go do gry, abym z niego mógł wziąść podobieństwo. Onaby tak rada mieć prędko swego kochanka! Ale to i mój kochanek ten obraz! rodząc go, mam całą rozkosz ojca patrzącego w dziecię, jak rośnie.

Później on będzie dla nich, dla wszystkich, teraz ino dla mnie. Ja go mam skończonego tu w głowie, widzę cały ruch jego, cały skład, całą harmonią tego, co będzie dla innych, co już jest myślą dla mnie. A wtém, rzecz dziwną, jakby mię coś rzuciło od obrazu, uskoczyłem, upuszczam pędzel, urwałem robotę i myśl fantasta posunęła mi po głowie: „Gdyby stanąć, porzucić pędzel; zostawić bez koloru, bez życia, bez zgięć i cieniów, i tę twarz zarysowaną ledwie, i tę postawę, którą dopiero kilka oznacza linii; i tylko ta ręka, ta jedna ręka żyjąca z owym różowym blaskiem krwi, co się w palcach promieni, gdyby została sama nie oparta, żyjąca w tym nieżywym obrazie, zawisła na tych kilku liniach, nitkach, co poręcz krzesła stanowić miały! Gdyby zostawić przyszłym wiekom tę zagadkę malarza, ten kaprys artysty! — niech myślą, niech zgadują, niech dorabiają twarz, usta, oczy, rysy do téj ręki! Gdybym w reszcie obrazu położył tak szeroki, tak wielki cień, jaki padnie kiedyś z grobowca na tę żyjącą postać męża? Gdyby uprzedzić śmierć w jéj skutkach, i tylko sercu

ludzi zostawić wdzięczne przyszłe zgadowanie téj ręki! ktoby odgadł? ktoby poznał tego, którego teraz każdy zna i wielbi? kto?«

„Ja, panie Bacciarelli!« odezwał się głos po za mną wchodzącego szambelana Strzembosza, który mój wykrzyk uniesienia wziął za proste pytanie ciekawości: »Ja, panie malarzu, przychodzę wam przerwać pracę waszą; ale śpieszcie, śpieszcie za mną, dziwne i straszne opanują was rzeczy: król na was niecierpliwie czeka; dowiecie się o wszystkiém — i po co...«

Nie tracę chwili, spieszę do króla; zastałem go zmienionym, jak nigdy, — on tak rozmowny, witający, oniemiał tą razą i długo bez słowa, bez powitania, przyszło mi czekać w komnacie. Turkot powozu zachodzącego przed okna królewskie przerwał to przykre milczenie. Zbudził się Stanisław, jakby z przykrego snu, jakby z przykrego wypoczynku po smutku. Czytałem w jego twarzy, że słowa, które miał do mnie mówić, dużo go kosztować musiały. »Ha!« rzekł, »pojedź mój Bacciarelli!« i wskazał na karetę, »weź pędzel i płótno; gdzie? oni ci powiedzą, oni powiedzą kogo.« Odwrócił się, zasłonił oczy rękoma, ciche szlochanie, jakby się daléj skarżyło przedemną. Mnie na ustach była ciekawość, bom jak jeszcze żyję nie odbierał polecenia z takim smutkiem i niechęcią wydawanego. Znając dworskie zajścia i chmury, z których najczęściéj niepogoda na twarz królewską biła, przypisywałem dolegliwość jego nowym utarczkom pani Luly z Anną Grabowską. Dwie te zapaśnice jak kręglem grały królewskim umysłem w przekór sobie, i spokojność jego była jak ten syn pieszczony, któremu matka umrze, a ludzie w miejscu jéj pieszczot litość mu dadzą; więc jemu niby to dobrze, ale często płacze sierota serce króla, nie żeby obie jednako kochało, ale dobroć wrodzona, dobroć bez hartu, dobroć bez wyboru, któréj najlepszą stroną była słabość i uległość każdemu wewnętrznemu wrażeniu, trzymała obie rywalki u boku króla, i raczéj wolał przenieść następstwo zazdrości, plotek, całą walkę pokojową tych pań, nad chwilę jednę wyboru, odtrącenia któréj z tych dwóch zapaśniczek lubości.

Lecz i one miały za sobą więcéj, jak tę słabość króla, więcéj, jak piękność swoją; one wyrosły na dworze w potęgę dwóch partyi, które się objawiły w narodzie. Słabo stał tron Stanisława, bez dzielności w sobie, bez samoistności, bez korzenia w narodzie, bez współczucia możniejszych. Panowanie jego był to bluszcz na mogile, i jak bluszcz od samych poetów lubiony.

Wielkie massy narodowych pojęć przeciągały koło tego tronu, bez nadziei w nim, bez spodziewku, bez ognia, którymby mogły zapalać ku niemu swe serca. Ogół narodu czuł, że sam za siebie myśleć musi, że nikt za niego nie myśli, że, jeśli działać przyjdzie, powiedzą mu: »działaj narodzie, my o tém wiedzieć nie chcemy.« — Piękną swą rękę Stanisław oplątał w przyrzeczenia z piękną obcą mocarką. Namiętność człowieka stanęła późniéj zawadą w obowiązkach króla: poseł był kochankiem, stolnik dłużnikiem, za późno Stanisław królem został, a za poczciwym, aby posła i stolnika w sobie zabaczyć. Kiedy więc na naród przyszła koléj myślenia, znalazło się myślących głów wiele, a każdy w swoim sposobie. Są kwiaty w królestwie roślin, jedne co kwitną dla siebie, pachną, oślepią i bez owocu zchodzą; są drugie, co mają łono z miodu nie dla siebie; rój do nich pędzi, muszka niémi żyje, motyl je całuje, cierpią w sobie, i jeszcze owoc pod nogi przyszłości rzucą.

Tak były w rzeczypospolitéj dwa kwiaty ogólnego myślenia; ślepiące kwiaty tego królestwa z imionami swojémi: Ożarowskich, Potockich, Czartoryskich, wiodły réj w myślach o narodzie, ale — s o b i e kwitnęły; chciały mieć kościół swój własny, ale wielki ołtarz dla siebie. A druga część myślących jeszcze nie miała znaczących imion, gotowała się do kwiatu z ciężarnym bolem; to gdzieś w poskokach konfederatów, to znów w piersi podkanclerskiéj, to owdzie w kościelnym kąciku, to gdzieś przy warsztacie szewca; ale miała jedną nazwę, chęć samoistnienia; jeden ul, dobro ogółu; a nie myślała o sobie, ino jak o urzędniku, kapłanie, szewcu, lub gdzie ją kwitnięcie zastanie. Owóż dwie te partye przed oblicze króla przychodziły nieraz śmiałe, zalotne, i chciały go badać i zapraszać z sobą. On niby nie słuchał, nie wiedział niby, raz jednak partya konfederatów uścisnęła króla porywczémi rękami tak mocno, że aż but i rękawiczkę zgubił; poczciwy szewc późniéj dopiero but mu dokroił, a podkanclerzy Hugo rękawiczkę odszukał; po tym kroku jednéj partyi przyszło do tego, że druga naciera sporzéj, dwie potencye rozgościła w biednéj krainie i wywołuje końca zabiegów swych. I ci panowie prostują karki dworackie przed królem, bo im chce się królami zostać, a rośnie nadzieja, patrząc na sprzymierzone i sproszone od nich oba wojska. Król się na to uśmiecha, i idzie do Łazienek, bawić się z Luly lub Grabowską. Ale jedną razą i tam go przydybała polityka; dwie te niewiasty poswarzyły się i dały sobie walkę na zabój: »Ty lub ja.« — Lecz aby dojść do celu, aby wspólnictwo w działaniu przeciw rywalce otrzymać, podały ręce partyom narodu i

przeciw sobie pod chorągwiami politycznych wystąpiły zamieszek. — Ów stan obecnéj chwili zdał mi się dosyć tłumaczyć rozkwilenie starca, i jam go nie chciał bez pociechy zostawić, jam go chciał przytomnością moją wrócić do wstrzymania żałoby; i jeszczem stał w sali z żegnającym ukłonem, gdy nadszedł szambelan z przypomnieniem, że kareta zaszła. Król zwrócił się raz jeszcze ku mnie, pożegnał ręką i postąpił ku drzwiom sypialni. Za wychodzącym sunąłem okiem, i zdało mi się widzieć w jego gabinecie czarny strój kobiety, co się ode drzwi usuwała, kiedy król je otwierał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wspomnienia pisarzów dawnych.

MARCIN BIELSKI.

(Dokończenie.)

Sprawa rycerska posiada takież same zalety, co najlepsze techniczne dzieła z owego wieku. Jest w niéj wyłożony wiernie wypadek doświadczeń na rzeczy swéj znającego się człowieka, a wysoce, jak na ów wiek, ukształconego żołnierza, który z historycznego stanowiska na sztukę wojowania zapatrywać się umiał. W części technicznéj opowiedziawszy wszystko, co się sporządzania potrzeb wojennych dotyczy, szczególną uwagę zwrócił Bielski na ulepszenie siecznéj i polnéj broni polskiéj, zastanawiał się następnie nad stanem rycerskiéj u nas sztuki w czasie pokoju i wojny, tak nazwane oglądania (rewije powiatowe) głównie mając na oku, tudzież rozebrał w szczególe różne sposoby wojowania narodów nas otaczających, nie pomijając i ludów odległéj od nas mieszkających. Szczegóły w téj mierze przywiodę w opisie życia domowego Polaków, rzecz mając o wojnie.

Godną jest uwagi droga, którą Bielski postępował, sposobiąc się do pisania dziejów polskiego narodu. Gdy mu przyszło w kronice świata mówić o Polakach, wziął kronikę Bernaba Wapowskiego, niegdyś kantora kościoła krakowskiego katedralnego, po łacinie napisaną, i takową po polsku wydał w skróceniu.[16]) Sam o tém mówi[17]) témi słowy: »jakożkolwiek stoi napisano, proszę, aby to każdy za wdzięczny upominek odemnie przyjął do tego czasu, aż łacińską szerzéj pisaną wydadzą kiedy.« W drugiém wydaniu kroniki świata toż samo uczynił, dodawszy do Wapowskiego dzieła wstęp o duchu historyi (rzecz o niéj do rycerstwa polskiego obracając), tudzież wywód narodu polskiego przez siebie zrobiony. Tak zaprawiony do dziejów ojczystych wziął się do napisania kroniki polskiéj. Nie ogłosił jéj wszakże drukiem, lecz w rękopisie zostawił, będąc śmiercią zaskoczony. Pisząc to dzieło nie tylko kroniki nasze łacińskie, które pod ówczas wyszły z druku lub w rękopisach ukryte były, miał pod ręką wszystkie, ale i kroniki pogranicznych nam narodów brał w pomoc, a mianowicie szwedzkie i duńskie,[18]) tudzież kroniki węgierskie i niemieckie[19]) zaglądając także i w akta urzędowe. Jakoż odwołuje się nieraz[20]) do listów królewskich z pieczęciami w skarbcu chowanych. Tym sposobem zostawił nam Bielski dzieło, które najlepszym ówczesnym kronikom w niczém nie ustępuje. W niém on dokładnie wystawił i swój i narodu, którego dzieje przedsięwziął opisać, obraz wierny. Odzywa on się tam zawsze za chłopkami, jak mówi[21]) niebożętami, a w niczém nie ubliżając prawdzie, szczerze i otwarcie opowiada rzeczy pamięci godne, nie oszczędzając nikogo, ale też nikomu nie ubliżając w sławie i poczciwości. Wszakże wzięto mu za złe tę jego otwartość, za Aryanina poczytano, i na jednéj z Krowickim umieszczono go szali[22]) za to, że powtórzył słowa Marcina Polaka[23]) o Joannie Papieżycy stolicę Piotra ś. około roku niewiadomego zasiadać mającéj. Z tego powodu syn jego, Joachim, wszelkiémi siłami obstaje za tém, że i owszem ojciec jego, Marcin, żył i umarł prawowiernym katolikiem, we wszystko wierząc w rzymski kościół, przepisał o wierze. Mimo to ojciec i syn uważani byli od spółczesnych za nieprawowiernych katolików.[24])

Józef Maxymilian Ossoliński jest inszego od nas zdania o kronice polskiéj przez Marcina Bielskiego napisanéj. Powiada bowiem,[25]) że ta kronika niczém innćm nie jest, jak ósmą księgą kroniki świata, którą przerobił syn Marcinowy Joachim, a dołożywszy dawniejszych pisarzów krajowych, Kadlubka, Miechowity i Długosza, (niby, że sam Marcin oprócz Wapowskiego i Kromera nie radził się inszych) utworzył nowe dzieło, i takowe ojcu swojemu przypisał. Słowa Joachima »dopisywałem, gdzie on (jego ojciec Marcin) przestał« tak tłómaczy Ossoliński, że tam, gdzie Marcin Bielski skończył z Wapowskiego kroniki wypisy robić (skończył na opisie pogrzebu Zygmunta I.), odtąd Joachim zaczął, a przerobiwszy zupełnie całe dzieło, i uzupełniwszy je

---

[16]) Ossoliński I. str. 404.
[17]) Na karcie 295.
[18]) O czém mówi w Kronice polskiéj str. 27.
[19]) Bonfiniusa i Witikinda wspomina tamże na str. 16. 39.
[20]) Tamże str. 272.
[21]) Na str. 448.
[22]) Ksiądz Adryan Jung, Rozwiązanie str. 29.
[23]) Którego Jezuita Jung nazwał Francuzem.
[24]) Bartosz Paprocki u J. S. Bandtkiego historya drukarń Krakowsk. str. 334.
[25]) Ossoliński I. str. 407. 443. i następn.

własnémi dodatkami, nową kronikę polską wydał. Dowód na to ma stawiać ta okoliczność, że właśnie przy opowiadaniu domowych dziejów z XIII. wieku[26]) są przytoczone okoliczności, które się po śmierci Marcina wydarzyły, a więc, że on sam nie mógł był o nich pisać. Lecz wszystko to nic innego nie dowodzi, jak tylko, że wydając prace ojca swojego Joachim, wydał ją przerobioną, nie tylko ją dopełniwszy, ale także poodmieniawszy, uzupełniając przez to dzieło całe, i poprawiając je.

Styl Marcina Bielskiego zasługuje na uwagę. Onufry Kopczyński[27]) powiada, że się odznacza zrozumiałością i wdziękobrzękiem.[28]) Wszakże sądziłbym, że insze jeszcze ma zalety sposób pisania czcigodnego Wielkopolanina. Zabierając się on do skreślenia dziejów po polsku, sam wiele nowych utworzył sobie wyrazów, poniekąd trafnie, a inne wziął z mowy gminu, i tym sposobem zachował je przy życiu. Język więc, którym on mówi, jest pełen życia, lubo nieco prostaczy. Znajdziesz u niego wiele wyrażeń, których u wzorowych ówczesnych pisarzy naszych nie dostrzeżesz, [tudzież wyrażeń wiele mocnych i pięknych: obegnać miasto (obsaczyć) w sprawie rycersk; dotrzeć (dokończyć); zapakować, (wywracać na nice), nie wszystkie, ale drugie, niegdzie, drugdzie, zwoleństwo (pozwolenie); hadrunk (sprzeczka, niemieckie der Hader); przekłusać za łep, ogrudzić się (grudą popsuć sobie nogi); przemorka (głód); kazeata (polewka z serem, caseus). Te wszystkie wyrazy są w Bielskiego sejmie niewieścim, a te tu w jego Śnie majowym: nie tu twego bytu (tak i dziś Rusini mówią); smykać (tykać), wszystkorodna matka (przyroda); ciasno mi od nieprzyjaciół. W kronice[29]): takli (już-to), co się tkło (co się dotyczy), pobożeństwo ku Bogu (nabożeństwo).]

Z rzymskich historyków z upodobaniem czytywał Sallustyusza, którego wyrażenia przyswajał sobie, tłómacząc je na polskie[30]) z włoskich dla rozerwania myśli, chętnie brał w rękę Bokacyusza dzieła.[31]) Usposobienie jego naukowe nie zalecało się wprawdzie wykończoną gruntownością,[32]) ale dzieje pojmował dokładnie, i snadź z ówczesnych Polaków najlepiéj czuł Bielski ducha historyi. Na to zostawił najlepsze dowody w obudwóch przemowach do wydań kroniki świata. W pierwszéj tudzież w zakończeniu tego dzieła rozwiódł się obszernie o tém, co to jest historya; w drugiéj usprawiedliwia się z tego przed bracią szlachtą, dla czego szczerze i otwarcie o rzeczach krajowych pisze, i że nikt z tego względu (słowa są jego) »jaką nielubością przeciw niemu poruszon być nie powinien.« Chociaż prawowiernym był katolikiem, przecież o sprawach kościoła otwarcie myśl swoją wynurzał,[33]) lubo zawsze z wielkiem dla głowy katolickiego kościoła uszanowaniem. *W. A. Maciejowski.*

Warszawa, 1840.

[26]) Ossoliński I. str. 445.

[27]) U Ossolińskiego I. str. 440.

[28]) Tak nasz badacz języka polskiego spolszczył wyraz harmonia.

[29]) Str. 315. 393. 593.

[30]) W argumencie do sprawy rycerskiéj mówi: ludzie żywią jak dobytek, co tylko brzuchowi olduje; w przypisaniu kroniki świata Zygmuntowi Augustowi pełno ma wyrażeń z tegoż historyka wyjętych.

[31]) Kronika świata wydanie pierwsze karta 9.

[32]) W kronice świata tegoż wydania na karcie téjże mówi o Wulkanie Jowiszowym bracie.

[33]) Kronika str. 725.

Krytyka.

Vorstudien zur Wissenschaft der Natur oder Uebergang von Gott zur Schöpfung von Bronislaus Ferd. Trentowski. 2 Bände. Leipzig 1840.

(Ciąg dalszy.)

Tyle co do ogólnych cech filozofii p. Tr. — Rzecz o naturze z filozoficznego uważanéj stanowiska, rozpoczyna się od pierwotnéj zasady, że w człowieku złożoném jest principium wszystkiéj natury. Ma to być prawda zasadnicza, z któréj się cała następność przedmiotu ma rozwinąć. Każdy system takiego szuka zaczątku; powinien się z najprostszego i najpewniejszego rozwijać pojęcia, od rzeczy znanych postępować do rzeczy nieznanych, i wrócić nareszcie zkąd wyszedł, ale w pełni i zupełności pojęcia. Tak matematyka rozpoczyna się pojęciem ilości, a z każdą nową prawdą matematyczną daje pełniejsze téjże ilości pojęcie; tak system Hegla wziął sobie za początek bytność *(das Sein)* owo niczém nie wypełnione pojęcie istnienia, ową próżnią abstrakcyi, która się coraz nowemi pojęciami wypełnia, aż nareszcie staje się bytnością Boga; tak wreszcie Kartezyusz odrzuciwszy na bok wszystką nabytą rzeczy wiadomość, szukał prostéj i pewnéj prawdy, na któréjby, jako na opoce stanąwszy, mógł z równą pewnością daléj postępować; i znalazł ten pewnik w owém sławném *cogito, ergo sum.* Wiadoma jest badaczom nauk filozoficznych krytyka tego zaczątku. Więcéj jeszcze na te same zarzuty wystawiony jest pewnik p. Tr., któryśmy wyżéj przytoczyli. Jest albowiem, jak owo kartezyańskie, nie pewnikiem, nie pierwotném pojęciem, ale wnioskiem, a jako wniosek, dopiero drugiém nie pierwszém. Rozważmy nadto naturę tego wniosku.

Wynikł takowy nie z dwóch prawd oczywistych, ale z dwóch przypuszczeń: *a)* że człowiek jest ostateczną kończyną stworzenia; *b)* że początek końcowi swojemu równien. Przypuszczenia te albo mogą być wprawdzie ugruntowane, albo nawet fałszywe. Dajmy, że są prawdami; to przecież nie takiemi, których pewność dla każdego jest oczywistą, albo w myśl filozofii uniwersalnéj dostrzeżoną. Raczéj byłyby to wypadki z poznania całego przyrodzenia i wszystkich objawów ducha wynikłe. Autor sam czuł potrzebę dowodzenia tych prawd, a to już powinno było ostrzedz go, że nie dadzą się wziąść za prawdy początkowe. Dowodzenia same, które nam autor daje, polegają na przytoczeniu przykładów, a przykłady nie dowodzą. Są zwłaszcza między

niémi i takie, któreby krytyki nie wytrzymały, jak np. przykład zaraz pierwszy: że człowiek z klejowatéj cieczy powstaje i na klejowatą ciecz się zamienia; albo że wiara początkiem i końcem wiedzenia; albo że rewolucyą tworzą się i upadają państwa. Przeciwnie możnaby i przykłady podać, na którychby trudno było zdanie owo przeprowadzić. Czyż np. choroba, co się kończy śmiercią alboli wyzdrowieniem, ten sam ma początek co koniec?

Nie zaprzeczamy jednak prawdziwości twierdzenia, że logicznie cel i zaczątek każdéj rzeczy są te same, i wyróżniają się tylko przez wypełnienie. Atoli nie zgadzamy się całkiém na drugie przypuszczenie: aby człowiek był ostateczną kończyną wszystkiego stworzenia. Wszystkie na to przytoczone dowody nic nie dowodzą, bo tu człowiek samemu sobie daje świadectwo, które musi być tak ograniczone, jak on sam jest ograniczony, tak zarozumiałe, jak sam jest zarozumiały. Człowiek poznał tylko ziemię mieszkanie swoje, ale niezmierzoności stworzenia nie ogarnął, jakże się jego kończyną najdoskonalszą nazwać potrafił? Rozpatrując się zaś w plemieniu ludzkiém po całéj kuli ziemskiéj osiadłém, musielibyśmy w konsekwencyi powiedzieć, że człowiek rasy kaukaskiéj jest tą najwyższą doskonałością tworów, boć inne rassy ani dziejów ani filozofii nie mają. Kształt ciała i umysłu idzie u ludzi białego lica w równi, i jak dawniéj rasa ta ze środka starego świata na wszystkie strony się rozlała i innoplemiennych autochtonów wyplenila, tak i dziś wszystkie części ziemi, siedliska ludów innorasowych, osacza i chłonie. Jak więc cała natura, tak plemie ludzkie samo w sobie zbieża do doskonałości rasy kaukaskiéj. Więc nie człowiek jako człowiek, ale jako człowiek rasy, wykształconéj ciałem i duszą, jest koroną przyrodzenia. Cóżby ztąd wynikło? Oto, że człowieczeństwo np. Buschhottentota wedle zasady p. Tr. alboby nie było principium natury, albo było. W pierwszym razie trzebaby wnosić, że nie człowieczeństwo, jako takie, ale doskonałość materyi i ducha w połączeniu, jest ostatnim szczeblem tworów, a zatém nawet nie rasa kaukazka, ale najdoskonalszy co do ciała i co do duszy pojedynek téj rasy, jest celem natury. Widzimy zatém, jak do coraz dalszych ostateczności, to przypuszczenie nas prowadzi. Jeżeli zaś i Buschottentota jest człowiekiem, tylko że w nierozwiniętéj doskonałości duszy i ciała, więc jest typ doskonałości natury i w orangutanie, z którego według utrzymywania p. Tr. człowiek wyłonił się, i tak w tył idąc będzie w każdym tworze co raz mniéj doskonałym, bo jest nieprzerwany węzeł doskonałości tworów, i nigdzie nie można powiedzieć: tu jest przeskok.

I to ostatnie zdaje nam się być najprawdziwszém. Boć doskonałość jest tylko względna, stawiana w porównaniu z doskonałością człowieka. Doskonałość zaś twórcza jest w każdém dziele Boga ta sama. Bóg jest, jak pięknie i trafnie p. Tr. powiada, i w zarodku niedojrzanego wymoczka, i w odrobinie pyłku roślin, jako jest w słońcach i w systemie światów całych. Daléj w każdym tworze jest połączenie w nierozerwanéj jednostce materyi i ducha, jest ów trójkąt p. Tr. z trzech pobocznic złożony, i każdy z tych milionów trójkącików jest matematycznie z owym niezmierzonym trójkątem samego całkowitego Bóstwa podobien.

Ani więc widzimy potrzebę uważania człowieka za ostateczny cel natury, skoro w każdym innym tworze jest ta sama absolutna doskonałość Stwórcy, i to samo połączenie materyi i ducha; ani też rozumiemy, aby go można za ostateczny cel uważać. Miałożby tu bowiem być ostatnie ogniwo łańcucha względnego postępu; kraniec ostateczny, do jakiego wypręźyła się i wypręźyć tylko mogła siła twórcza Boga? Miałożby Bóstwo nieznające i niemające granic, bo jest wszystkością, w człowieku natrafić na granice twórczéj siły swojéj, i nie znać i nie wywołać wyższéj doskonałości tworu nad twór człowieczy? Tego ani dowieść, ani przypuścić nie można. Nie prędzéj Stwórca trafi na granice twórczéj siły swojéj, dopóki nie wywoła drugiego siebie, co w szeregu stworzonych doskonałości względnych, dla nieskończoności postępu jest niepodobném.

Z dwóch zatém powyższych przypuszczeń autora, jedno tylko jest logicznie, to jest w abstrakcyi, prawdziwe, drugie całkiém w prawdzie nieugruntowane, i dla tego też wniosek z nich wyprowadzony nie jest prawdziwy, i metodycznie za zaczątek umiejętności położonym być nie może.

Jednakowoż nie wystawił nam autor systemu swojego na fałszu, bo go też nie na wniosku, ale na rzeczywistości zbudował, to jest z człowieka wziął miarę Bóstwa i miarę natury. I mógł to uczynić, bo wywiedliśmy wyżéj, że każdy twór przyrodzenia jest nierozerwanym węzłem materyi i ducha, i ma życie, ma żywotnią stronę ciała i żywotnią stronę ducha, każdy z osobna jest w sobie celem i kończyną stworzenia, jest obrazem Bóstwa, a cielesną stroną obrazem natury, i ma te same, co ona kategorye, jest pojawny, i jako taki przemijający; jest gatunkiem, a jako taki jest wiecznotrwały. W każdym więc tworze natury jest natura cząstką swoją i istotą swoją, przemienna i zarazem wiecznotrwała, żywotnia, doskonała. Z tego więc jedynie tytułu, a nie z innego jakiego powodu, leży także w człowieku principium natury.

Człowiek prawda, jest samemu sobie najbliższy. Ale właśnie dla tego, że jest sobą samym, jest sobie najnieznajomszy. Wysokiéj trzeba siły poznania, ażeby siebie rozłożyć na istotę poznawającą i przedmiot poznania; wielką dla tego prawdę powiedział autor: że łatwiéj poznać naturę i Boga, niż człowieka, łatwiéj poznać człowieka w ogólności, niżeli ojca lub dziecię swoje; a najtrudniéj poznać siebie samego. Przedmiot poznania nie leży zatém w nas, ale zewnątrz nas, i zmysły nasze skierowane dla tego są na świat, nie wewnątrz nas. Jak więc poznanie człowieka wszelakie nie od poznania siebie zaczyna się, i dla zmysłowości naszéj na zewnątrz skierowanéj zacząć nic może, tak i filozofia nie od człowieka brać powinna początek, bo to jest najnieznajomsze, jest sfinx nieodgadniony. W człowieku jest człowiek, w roślinie roślina, w kamieniu kamień, ale we wszystkiém jest Bóg. Bóg napełnia sobą świat cały, on według systemu uniwersalnéj filozofii jest bezpośrednią prawdą poznania; Bóg zatém powinien być początkiem i końcem filozofii, nie człowiek, owa tylko jednostka stworzenia. Rozumielibyśmy przeto, że i tu, i w rozwinięciu systemu samego, stósowniéj i metodyczniéjby było, gdyby był autor bezpośrednią wiedzę Boga za początek całéj osnowy położył.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

W tych dniach wyszło: »Wspomnienie piątego Sierpnia (dnia w którym podobno X. Arcy-Biskup Dunin do Poznania powrócił), charakterycznie na fortepian ułożone« przez pana Kiszwaltra. Przyłączona poezya godna przedmiotu!

W Warszawie ma podobno wychodzić od nowego roku znów nowy żurnal mód. W Poznaniu tego już nie będzie potrzeba, bo nasze damy starają się obecnie przez przepych w swych toaletach na wieczorach i balach dowodzić, iż i bez żurnalów mód umieją się stroić. One może nie wiedzą, że tyle tysięcy jest w nędzy, one nie wiedzą i nie czują, że dziś nie sprzedana na korzyść bliźniego cierpiącego perła lub brylant, niczem więcéj już nie są, jak ironią na łzy nieszczęśliwych.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*